

Turystyka

Reporterka Białego Orła przez miesiąc pracowała na misji prowadzonej przez ojca Jana Koczego

Niebezpieczne okolice, piękne

MARIA KESTOWICZ-LECH

To już ostatnia część relacji z pobytu naszej reporterki na misji w Ekwadorze. Po ciężkiej pracy i pomocy potrzebującym, był też czas na zwiedzanie i podziwianie piękna przyrody.

Jaskinie Jumandy

Nie zdążyliśmy jeszcze ochłoniąć z wrażeń po wycieczce do dżungli, a tu przed nami następna niesamowita wyprawa do słynnych jaskiń Cuevas de Jumandy, 4 km od Archidony.

Zbieramy siły w czasie jazdy samochodem, trochę przysypiając. Po drodze w Teniejemy świetny obiad w restauracji Chuquitos nad rzeką. Białe obrusy, granatowe, bawelniane serwetki, świetna obsługa, potrawy doskonale. Humory mamy świetne.

Do jaskiń docieramy około 5:00. Robi się już ciemno, ale umówiony przewodnik, Luis czeka na nas. Przebieramy się w kostiumy kąpielowe, dostajemy na głowę latarkę i wchodzimy w ciemność. Prawie nic nie widać. W smugach światła latarek objąwszy się na ścianach skał dziwne cienie. Słychać szum wody, która spływa kaskadą z wyższych partii gór, zbiegając w skałach szczytów, przez które trzeba się przeciskać. Wąskie korytarze czasem są tak niskie, że miejscami idziemy mocno pochyleni. Brodzimy w zamulonej wodzie, która czasem zmienia się w rwącą rzekę. Nagle okazuje się, że trzeba trzymając się liny przepłynąć pewien dystans, żeby dotrzeć do następnej z jaskiń. Nad głowami latają obudzone światłami latarek nietoperze. Mijamy szeroki wodospad. Można zanurzyć się w rzece pod nim, gdzie są szczeliny dochodzące nawet do 5 m. głębokości. Oczywiście Agatka, Dominika, Daniel i ojciec Jan kolejno znikają pod wodą na ja-

kis czas, wystarczający na to, żeby się zacząć o nich martwić. Po drodze przewodnik pokazuje nam ogromne stalagmity i stalaktyty, które tworzyły się tysiącami lat. Kiedy wreszcie dochodzimy do trochę szerszej części jaskini proszą o wyłączenie latarek. Siedzimy na kamieniach w ciemności, glina oblepia nogi, słychać jakieś niesprecyzowane odgłosy, szum wody.

Luis po kilku minutach zaczyna następna niesamowita wyprawa do słynnych jaskiń Cuevas de Jumandy, 4 km od Archidony.

Zbieramy siły w czasie jazdy samochodem, trochę przysypiając. Po drodze w Teniejemy świetny obiad w restauracji Chuquitos nad rzeką. Białe obrusy, granatowe, bawelniane serwetki, świetna obsługa, potrawy doskonale. Humory mamy świetne.

Dwa równiki

Equador jest dumny z faktu, że przebiegał tu równik. Nazwa państwa pochodzi od słowa „equator”, co znaczy „równik”. W 1736 roku Charles-Marie de la Condamine wykonał pomiar i ustalił miejsce, którego równik przebiega. Dla uświetnienia tego miejsca postawiono 30 metrowy monument. Ale tak naprawdę to nie jest równik. Ten właściwy znajduje się 240 metrów dalej. Korzyst-



tając z pobytu w Quito, po znakomitym śniadaniu w Centrum Misyjnym Ojców Werbistów jedziemy do Museo Solar inti Nan, gdzie przebiega prawdziwa linia równika. Setki lat temu wyznaczili ją Indianie, a obecnie potwierdziły to miejsce dokładne badania naukowe. Jedną z ciekawostek jest tam „słoneczny chronometr” unikalny instrument zrobiony w 1865 roku, który pokazuje precyzyjnie astronomiczny i konwencjonalny czas: miesiąc, dzień i porę roku - wszystko używając promieni słonecznych.

Turyści robią doświadczenia z jajkami, które starają się ustawić na główce gwoźdźnia na linii równika. Oczywiście Agatka i Daniel ćwiczą to weale nie łatwe zadanie, aż jajko stanie na jakiś czas pionowo. Dostają dyplomy. Spacerują po linii równika z zamkniętymi oczami doświadczając dziwnych wrażeń. A pomyśleć o fakcie, że na równiku waży się mniej? No tak, będąc w Quito warto zajrzeć na równik.

Wycieczka nad wybrzeże

Wycieczka nad ocean została zaplanowana przez ojca Jana na czas pobytu Bożenka i Jessiki. To nasz ostatni weekend w Ventanas i ostatnia możliwość żeby poznać następną część Ekwadoru. O Bożence i Jessice otrzymu-

jemy wciąż sprzeczne informacje: „przylecą później”, „nie przylecą w ogóle”, „może przylecą”. Wreszcie dzwoni Thalia z wiadomością, że przylecą za 2 dni. Jest nam smutno, że nie będą z nami. Po późnym powrocie z Quito nocujemy w Ventanas. Zmieniamy ubrania i znów w drogę! Plan jest taki, że będziemy się przemieszczać z miejsca na miejsce i robimy postoje na ładnych plażach. To nam się podoba, wreszcie trochę relaksu. Wyjeżdżamy wcześniej rano. Wzdłuż drogi ciągną się plantacje bananów, mango, lasy bambusowe, widzimy baobaby. Nieco dalej pola ryżowe i wszędzie biedne małe domki z bambusa lub drewna. W pewnym momencie następuje ożywienie. Przed nami Paryż, zapowiada ojciec Jan przy wjeździe do miasta. I rzeczywiście widzimy na głównym placu replikę wieży Eiffla. Stoi w pięknym miejscu w zakolu rzeki. Wokół dużo zieleni. Nie do wiary! To nic, że jest mniejsza od tej francuskiej. Fotografujemy ją ze wszystkich stron. Trzeba jechać dalej. Z okien samochodu oglądamy przesu- wające się krajobrazy, robimy zdjęcia. Nagle ojciec Jan pyta: „A może chcecie kupić kapelusze panamskie. Przydadzą się nad morze”. Oczywiście, że chcemy, więc skręcamy do miasteczka

Montechrysti. Słynne kapelusze panamskie produkuje się bowiem w Ekwadorze, w małym, ładnym miasteczku Montechrysti, o czym mało kto wie. Wybieramy, przebieramy, kupujemy dla siebie, dla przyjaciółek. Kapelusze są śliczne i jest ich dużo. Sklep koło sklepu. Spędzamy tu sporo czasu.

Wreszcie dojeżdżamy do Manty i oto jesteśmy nad Pacyfikiem. Szeroka plaża, woda znośna do kąpiele, słońce. Zbliża się burza, grzmi niedaleko nas i zaczyna padać coraz bardziej. Decydujemy się poczekać trochę w pokoju, ale jesteśmy głodni. Wciąż w ciemnościach idziemy do najbliższej restauracji która ma agregat. Zamawiamy znakomitą kolację. Po niej spacer nad morzem. Kilka osób idzie na dyskotekę, a reszta do hotelu spać. Ale jak tu spać, kiedy muzyka ze wszystkich barów łączy się w jeden hałas nie do wytrzymania. O godz. 3:00 nad ranem zabawa przenosi się na ulicę pod naszym hotelem i trwa do 6:30. No właśnie to czas na pobudkę. Trzeba było raczej tańczyć całą noc. Wyjeżdżamy z Montanity do Salinas, jednego z najładniejszych miast na wybrzeżu. Tutaj jemy śniadanie w restauracji nad morzem i wynajmujemy na plaży miejsce pod daszkiem z leżakami. Można pospać, pływać, spacerować po ładnej plaży. Odpoczywamy.

Wyjeżdżamy późnym popołudniem przez Guayaquil, gdzie jemy w „naszym” Malu obiad. Choć jest dużo stoisk z żywnością, wybieram w „Chicken from Texas”, kurczaka z frytkami. Jedziemy do domu. O 9:30 wieczorem ma przyjechać autobusem Bożenka i Jessica, teraz na pewno. Mamy potwierdzenie z Quito od Salome siostry Thalii. Salome i Marcy zapiekowały się nimi po przylocie. O 3:00 w nocy odebrały do samochodu i w drogę. Dojeżdżamy do Montanity. Ruch w miasteczku nas zaskakuje. Jest wesoło, tłum turystów z całego świata. Ulice barw-



nie oświetlone, restauracja koło restauracji, hotel koło hotelu. To najlepsze miejsce na surfing w całej Ameryce Południowej. Postanawiamy tu zostać. Znajdujemy z trudem hotel, bierzemy prysznic i w momencie, kiedy już gotowi chcemy wyjść na ulicę, gaśnie światło w całym mieście. Zbliża się burza, grzmi niedaleko nas i zaczyna padać coraz bardziej. Decydujemy się poczekać trochę w pokoju, ale jesteśmy głodni. Wciąż w ciemnościach idziemy do najbliższej restauracji która ma agregat. Zamawiamy znakomitą kolację. Po niej spacer nad morzem. Kilka osób idzie na dyskotekę, a reszta do hotelu spać. Ale jak tu spać, kiedy muzyka ze wszystkich barów łączy się w jeden hałas nie do wytrzymania. O godz. 3:00 nad ranem zabawa przenosi się na ulicę pod naszym hotelem i trwa do 6:30. No właśnie to czas na pobudkę. Trzeba było raczej tańczyć całą noc. Wyjeżdżamy z Montanity do Salinas, jednego z najładniejszych miast na wybrzeżu. Tutaj jemy śniadanie w restauracji nad morzem i wynajmujemy na plaży miejsce pod daszkiem z leżakami. Można pospać, pływać, spacerować po ładnej plaży. Odpoczywamy.

Wyjeżdżamy późnym popołudniem przez Guayaquil, gdzie jemy w „naszym” Malu obiad. Choć jest dużo stoisk z żywnością, wybieram w „Chicken from Texas”, kurczaka z frytkami. Jedziemy do domu. O 9:30 wieczorem ma przyjechać autobusem Bożenka i Jessica, teraz na pewno. Mamy potwierdzenie z Quito od Salome siostry Thalii. Salome i Marcy zapiekowały się nimi po przylocie. O 3:00 w nocy odebrały do samochodu i w drogę. Dojeżdżamy do Montanity. Ruch w miasteczku nas zaskakuje. Jest wesoło, tłum turystów z całego świata. Ulice barw-

nie oświetlone, restauracja koło restauracji, hotel koło hotelu. To najlepsze miejsce na surfing w całej Ameryce Południowej. Postanawiamy tu zostać. Znajdujemy z trudem hotel, bierzemy prysznic i w momencie, kiedy już gotowi chcemy wyjść na ulicę, gaśnie światło w całym mieście. Zbliża się burza, grzmi niedaleko nas i zaczyna padać coraz bardziej. Decydujemy się poczekać trochę w pokoju, ale jesteśmy głodni. Wciąż w ciemnościach idziemy do najbliższej restauracji która ma agregat. Zamawiamy znakomitą kolację. Po niej spacer nad morzem. Kilka osób idzie na dyskotekę, a reszta do hotelu spać. Ale jak tu spać, kiedy muzyka ze wszystkich barów łączy się w jeden hałas nie do wytrzymania. O godz. 3:00 nad ranem zabawa przenosi się na ulicę pod naszym hotelem i trwa do 6:30. No właśnie to czas na pobudkę. Trzeba było raczej tańczyć całą noc. Wyjeżdżamy z Montanity do Salinas, jednego z najładniejszych miast na wybrzeżu. Tutaj jemy śniadanie w restauracji nad morzem i wynajmujemy na plaży miejsce pod daszkiem z leżakami. Można pospać, pływać, spacerować po ładnej plaży. Odpoczywamy.

nie oświetlone, restauracja koło restauracji, hotel koło hotelu. To najlepsze miejsce na surfing w całej Ameryce Południowej. Postanawiamy tu zostać. Znajdujemy z trudem hotel, bierzemy prysznic i w momencie, kiedy już gotowi chcemy wyjść na ulicę, gaśnie światło w całym mieście. Zbliża się burza, grzmi niedaleko nas i zaczyna padać coraz bardziej. Decydujemy się poczekać trochę w pokoju, ale jesteśmy głodni. Wciąż w ciemnościach idziemy do najbliższej restauracji która ma agregat. Zamawiamy znakomitą kolację. Po niej spacer nad morzem. Kilka osób idzie na dyskotekę, a reszta do hotelu spać. Ale jak tu spać, kiedy muzyka ze wszystkich barów łączy się w jeden hałas nie do wytrzymania. O godz. 3:00 nad ranem zabawa przenosi się na ulicę pod naszym hotelem i trwa do 6:30. No właśnie to czas na pobudkę. Trzeba było raczej tańczyć całą noc. Wyjeżdżamy z Montanity do Salinas, jednego z najładniejszych miast na wybrzeżu. Tutaj jemy śniadanie w restauracji nad morzem i wynajmujemy na plaży miejsce pod daszkiem z leżakami. Można pospać, pływać, spacerować po ładnej plaży. Odpoczywamy.

Wyjeżdżamy późnym popołudniem przez Guayaquil, gdzie jemy w „naszym” Malu obiad. Choć jest dużo stoisk z żywnością, wybieram w „Chicken from Texas”, kurczaka z frytkami. Jedziemy do domu. O 9:30 wieczorem ma przyjechać autobusem Bożenka i Jessica, teraz na pewno. Mamy potwierdzenie z Quito od Salome siostry Thalii. Salome i Marcy zapiekowały się nimi po przylocie. O 3:00 w nocy odebrały do samochodu i w drogę. Dojeżdżamy do Montanity. Ruch w miasteczku nas zaskakuje. Jest wesoło, tłum turystów z całego świata. Ulice barw-

nie oświetlone, restauracja koło restauracji, hotel koło hotelu. To najlepsze miejsce na surfing w całej Ameryce Południowej. Postanawiamy tu zostać. Znajdujemy z trudem hotel, bierzemy prysznic i w momencie, kiedy już gotowi chcemy wyjść na ulicę, gaśnie światło w całym mieście. Zbliża się burza, grzmi niedaleko nas i zaczyna padać coraz bardziej. Decydujemy się poczekać trochę w pokoju, ale jesteśmy głodni. Wciąż w ciemnościach idziemy do najbliższej restauracji która ma agregat. Zamawiamy znakomitą kolację. Po niej spacer nad morzem. Kilka osób idzie na dyskotekę, a reszta do hotelu spać. Ale jak tu spać, kiedy muzyka ze wszystkich barów łączy się w jeden hałas nie do wytrzymania. O godz. 3:00 nad ranem zabawa przenosi się na ulicę pod naszym hotelem i trwa do 6:30. No właśnie to czas na pobudkę. Trzeba było raczej tańczyć całą noc. Wyjeżdżamy z Montanity do Salinas, jednego z najładniejszych miast na wybrzeżu. Tutaj jemy śniadanie w restauracji nad morzem i wynajmujemy na plaży miejsce pod daszkiem z leżakami. Można pospać, pływać, spacerować po ładnej plaży. Odpoczywamy.

Turystyka

w Ekwadorze - część III

krajobrazy

rodziny Thalii, która tak serdecznie zaangażowana jest w pomoc nam wszystkim.

Dzieci ojca Jana

„No se vayan, no se vayan.” Nie wyjeżdżajcie, nie wyjeżdżajcie.”

Na 2 godziny przed naszym wyjazdem, przed bramą do misji zaczyna zbierać się dzieci. Niektóre przychodzą z matkami, inne same. Mają ze sobą prezenty dla nas. Różne. Dostajemy piękne kartki z wymalowanymi obrazkami i słowami miłości. Plastikowe własnoręcznie zrobione czerwone kwiatki, zdjecia. Jakich piękny gest wdzięczności. Chyba nasza praca nie poszła na marne. W pewnym momencie zaczynają śpiewać piosenki, których się nauczyły. Jedną po drugiej, po hiszpańsku, po angielsku i po polsku. Głośno, coraz głośniej, jeszcze głośniej. Dzieci przybywa. Trudno przecisnąć się z bagażami do samochodu. Dzieci tulą się do nas ze wszystkich stron. Dandy z młodszym braciem Jospem biorą ode mnie walizkę i ciągną, choć przeciw jest tak bardzo ciężka. Koniecznie chcą mi pomóc.

Atmosfera robi się wzruszająca. Jessica i Agatka nie mogą powstrzymać łez. Nam wszystkim jest trudno się rozstać. Czas upłynął niewiarygodnie szybko. Umawiam się z Dandym na następny rok. Wszyscy się umawiamy, szczególnie ze swoimi przybranymi dziećmi. Ula, Agatka i Daniel mają tu dwójkę: Angelię i Jonatana. Ja adoptowałam Dandyego. Dlaczego? Dandy ma 10 lat, wydaje się być dobrym dzieckiem. Jest spokojny, miły, dobrze się uczy, opiekuje się troskliwie swoimi młodszymi braćmi. Pewnie moja pomoc nie pójdzie na marne. Bożenka i Jessica adoptowały Fabricio, a Aneta, jej córka, Leybertha. „Adopcja na odległość” nie jest drogą. Kosztuje miesięcznie 35 dolarów i wystarcza na pomoc medyczną, wyżywienie i pomoce szkolne.

Mercy, matka Dandyego, dostaje 35 dolarów zapomogi od państwa. Ma 3 synów. Nie ma pracy, ojciec dzieci przepadł gdzieś bez śladu żeby nie płacić na ich utrzymanie. W małym domku mieszka 21 osób. Mercy z dziećmi, trzy siostry z dziećmi i brat. On pracuje czasami poza Ventanas przy obróbce węgla drzewnego. W pokoiku przy wejściu stoi kil-

ka plastikowych krzeseł i małutki telewizor. Z tyłu domu jest kuchnia. Kuchenka i nic poza tym. Na kolację będzie ryż, który właśnie się gotuje. Podłoga na parterze jest betonowa. Po drewnianych schodach wchodzi się do części sypialnej. Materace leżące na podłodze są poprzedzielane plastikowymi zasłonami. Nad głowami sznurki, na których wiszą rzeczy do ubrania. Między ścianami i metalowym dachem część w ogóle nie zabudowana, pewnie z myślą o wentylacji. Przy okazji wizyty u rodziny Dandyego i poinformowaniu matki, że będę mu pomagać, robimy sporo zdjęć. Poznajemy całą rodzinę, co ułatwi wkrótce Bożence, która z nami jest tylko 3 dni, w podjęciu decyzji o adopcji. Fabrizio jest z tej samej rodziny. Śmiejemy się, że zostaliśmy spokrewnione przez adoptowane dzieci. Następnie idziemy do domu, gdzie mieszka Angelica. Żyje z babcią, która ma pod swoją opieką jeszcze kilka innych dzieci. Matka wyjechała w poszukiwaniu pracy jakiś czas temu. Ojciec nieznany. Domek z bambusowych deseczek na drewnianych palach mieści się na bagnach.

Od głównej drogi prowadzi do niego wysoko w powietrzu bambusowa kładka. Biegną one jak chodniki między domami w różne strony. To całe osiedle jest dla tych najuboższych. Kładki są dziurawe, kołyszą się w różne strony, wpadają w drgania, jeśli jednocześnie idzie po nich kilka osób. W tym „domku” jest jedna izba z materacem na środku i oczywiście mały telewizor. Rozglądam się dookoła i widzę anteny telewizyjne sterzące z każdego blaszanego dachu. Cywilizacja XXI wieku w ten sposób dociera do ludzi tu żyjących.

To tylko dwa przykłady z sytuacji, w jakiej żyje wiele rodzin w Ventanas. Ojciec Jan ma pod swoją opieką 200 dzieci z najuboższych domów. Robi wszystko, co jest w jego mocy żeby poprawić im byt.

Pisałam niedawno o projekcie kupna budynków szkoły. Ojciec Jan szuka sponsorów. Pierwszy zgłosił się pan Ryszard Sienko z Houston, który chciał pomóc finansowo w kupnie samochodu dla Fundacji, ale na prośbę Ojca Jana zmienia przeznaczenie swojej donacji i przeznacza pieniądze, (8 ty-

sięcy dolarów), na kupno szkoły. Zakup samochodu odwlece się, ale za to można zacząć załatwiać formalności kupna budynków szkolnych. Plan jest duży - dobudowanie piętra, pokoi dla nauczycieli, klimatyzacji. Powstanie tu fabryka czekoladowych cukierków dla stworzenia miejsc pracy dla rodziców. Dzieci ojca Jana będą miały szkołę. Już niedługo.

Misja Bożenki

Bożenka i Jessica dojechały do nas w niedzielę 4 lipca wieczorem. Były w Fundacji trzy dni. Bardzo owocne dni. Przywiozły dla dzieci lekarstwa i witaminy, trochę sprzętu medycznego, a także szczotki i pasty do zębów, które podarowały Kasia Lindhorst i Barbara Wasil, dentystki z Houston. Dowiozły też resztę ubrań dla dzieci, których nie zmieściliśmy w naszych walizkach. Każda z nas przywiozła do Ventanas 2 walizki darów i w bagażu podręcznym własne rzeczy do ubrania, z których na końcu pobytu zostawiłyśmy sporo dla dzieci lub ich rodzin.

Wszystkie rzeczy zostały rozdane między dzieci z misji. Dzień po przyjeździe Bożenka z ojcem Janem i Prezydent Fundacji Jolandą Herrera wybrali się do szpitala w Ventanas. Towarzyszili im Ula i Georg, który jako wolontariusz pracuje dla Fundacji od roku. Rozmawiali z ordynatorem szpitala. To była ważna wizyta. Bożenka, z którą potem rozmawiałam powiedziała mi: „Przyjechałam do Ventanas m. in. w celu zapoznania się z potrzebami medycznymi miasta. Jak się spodziewałam, są one ogromne. Szpital ma 15 łóżek dla 40 000 mieszkańców. Składa się z oddziału ogólnego i położnictwa. Brakuje lekarzy, wózków inwalidzkich, rentgena - podstaw. Ordynator pokazał nam pomieszczenia, które ze względu na brak



Fot. Maria Kestowicz-Lech

sprzętu stoją puste. Rozmawiając z lekarzami dowiedzieliśmy się, że ludzie w Ventanas chorują przede wszystkim na dolegliwości górnych dróg oddechowych, na cukrzycę. Mają problemy żołądkowe. W jednym pomieszczeniu na niepościelonych noszach leżała w przedporodowych bólach kobieta a obok mały chłopczyk ze złamaną ręką. Były też dzieci z wysoką temperaturą przyjęte na kilka godzin, podłączone do kroplówek. Matki wachlowały je ściereczkami odganiając muchy. Nikt nie płakał, nie narzekał, nie wołał o pomoc. Trzeba było się zorientować, jak tym ludziom można pomóc. Jak sprzątać można przelać z USA, jakie lekarstwa. Może uda się znaleźć lekarzy wolontariuszy, którzy mogliby pojechać choć na krótki czas? Będę próbowała nawiązać odpowiednie kontakty, zrobię wszystko, co jest możliwe. Nie zapomnę dzieci, nie zapomnę ojca Jana, który robi wszystko, żeby poprawić losy dzieci i ich rodzin. Uczy, karmi, stwarza miejsca pracy.”

Wszystkie rzeczy zostały rozdane między dzieci z misji. Dzień po przyjeździe Bożenka z ojcem Janem i Prezydent Fundacji Jolandą Herrera wybrali się do szpitala w Ventanas. Towarzyszili im Ula i Georg, który jako wolontariusz pracuje dla Fundacji od roku. Rozmawiali z ordynatorem szpitala. To była ważna wizyta. Bożenka, z którą potem rozmawiałam powiedziała mi: „Przyjechałam do Ventanas m. in. w celu zapoznania się z potrzebami medycznymi miasta. Jak się spodziewałam, są one ogromne. Szpital ma 15 łóżek dla 40 000 mieszkańców. Składa się z oddziału ogólnego i położnictwa. Brakuje lekarzy, wózków inwalidzkich, rentgena - podstaw. Ordynator pokazał nam pomieszczenia, które ze względu na brak

Galapagos

Wyjeżdżamy wszyscy z Ventanas 7 lipca. Ula z Agatką i Danielem leca następnego dnia do Polski, Dominika przenosi się na kilka dni do rodziny, która mieszka w Quito, a Bożenka, Jessica i ja lecimy na pięć dni na Galapagos.

600 mil na zachód od wy-

brzeża Ekwadoru 2,5 miliona lat temu, powstały z erupcji lawy z dna oceanu wyspy. W archipelagu znajduje się obecnie 13 dużych i 6 małych wysp, niektóre wznoszą się na wysokość do 2600 stóp npm. Te młodsze mają wciąż aktywne wulkany. Wyspy przybrały nazwę od olbrzymich żółwi „galapagos”. Jest to dom dla wielu gatunków ptaków, żyją tu lwy morskie, delfiny, wiele gatunków kolorowych ryb, długowieczne żółwie. Najbardziej niezwykła roślina nigdzie więcej nie spotykana to drzewo kaktusowe - Opuntia Cacti. Nasz cel to Puerto Ayora, miasto na wyspie Santa Cruz. Tu mieści się nasz piękny hotel tuż nad zatoką, gdzie jest port i stoją motorówki, którymi mamy w planie zrobić kilka wycieczek. Fundację Charlesa Darwina zwiedzamy na piechotę. Oglądamy wylegające się lwy morskie na przybrzeżnych skałach, 100-200 letnie żółwie spacerujące powoli ścieżkami leśnymi, spotykamy piękne ptaki z czerwonymi brzuszkami - to frigate. Są też albatrosy czy rzadko spotykane, małe pingwiny.

Na kamieniach przy brzegu czerwone kraby, są ich tysiące. I czarne iguany. No i te lasy kaktusowe. Na ulicznym targu tuż nad wodą, młody lew morski próbuje ukraść kawałek tuńczyka, pelikany kłócą się między sobą o skóry z ryb, które rzucają im sprzedawcy.

